

Luniniski E. Putnownik Beren  
Jewelowick



Wyd. oryginalny 1908

ERNEST ŁUNIŃSKI.



# PUŁKOWNIK BEREK JOSELOWICZ

POPULARNA OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA.



LWÓW

NAKŁADEM KOŁA T. S. L. im. BERNARDA GOLDMANA

DRUKARNIA „WIEKU NOWEGO“

1908.

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAMI

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 74

Tel. 26-68-63

<http://fcm.org.pl>



Własność na cesarstwo rosyjskie zastrzeżona  
księgarni E. Wendego i Spółki. (Właściciele  
T. Hiż i A. Turkuł). Warszawa.



22.276



PUŁKOWNIK BEREK JOSEŁOWICZ.





## Lectori Salutem!

Tym wykrzykiem starych Rzymian szlę Czytelnikowi pozdrowienie!

Od dziesiątków lat starali się najznakomitsi ludzie naszej Ojczyzny rozwiązać sprawę żydowską, wyrwać chwasty wzajemnych nieporozumień, pod godłem wspólnej miłości i szczerości. Butrymowicz, Linowski, nieszczęsny a bohaterski Łukasziński. Rząd narodowy 1863 roku, — cały poczet świetnych pisarzy, tkąło przędzę na temat żydowskich rozważań.

Szanowne cienie! Każdy z nich niósł, co mógł i jak mógł, do urny przeobrażenia krajowych stosunków, każdy dzierżył oliwną gałązkę i szczepił posiew zgody. Ale najpiękniejsze słowa igrają, niby fala w blaskach słonecznych i opadają jak ona, ginąc w otchłani bezdennej i bezbrzeżnej.

Tylko czyny stwarzają rzeczywistość i podnoszą pragnienia, myśli do godności, prawdy i dostojęstwa historyi.

Życie Berka, syna Josła, przez czyn stało się programem. Wtem świetność i wartość postaci. Oby w pamięci ludzkiej ten spiżowy człowiek budził poczucie ewangeliczne: kochaj bliźniego, jak siebie samego.

Z obu stron trzeba wyrozumienia, z obu nie tylko chęci, ale i czynu. Wówczas sprawa żydowska będzie należała do apokarzającej przeszłości, zostanie pobielanym grobem.

Oddając na usługi Czytelnika krótką opowieść o Berku, pragnę ten moment zbliżyć najprędzej. Bodaj jutro, pojutrze!





O czynach Berka Joselowicza chcę Wam, moi mili, opowiedzieć, abyście przypomnieli sobie, jak to miłość rodzi miłość, szlachetność krzewi szlachetność, — a dusza piękna, spowita w ideały, zawsze sieje ziarno poznania i prawdy. Z dziejów tego niezwykłego, przepyszego człowieka, bije czar, bije siła, bije treść pocuczająca, tyle mówiąca i nasuwająca nieskończoność rozważań! — Na polach chwały, na ziemi krwią zbroczonej, w potrzebie wspólnej, — zatarły się nienawiści plemienne, — zagasło zarzewie sporów i odraz, — a w ich miejsce wyrosło braterstwo, naprawa błędów przeszłości, wielkie wołanie: chodźcie z nami i za nami!... Nic nie pozostało z rozterki... Pokój ludziom dobrej woli!... Berek jest wyobrazicielem nowej myśli złączenia się dwóch społeczeństw, jest głosicielem ukochania rodzinnej ziemi i pierwszym, widomym patriotą polskim, żydowskiego pochodzenia. Bo czyż ten kraj biedny, znękaný, doświadczony losem, skowany, — nie ma dość miejsca dla wszystkich? Czyż nie czerpiemy wody z tej samej krynicy, — czyż te same drzewa nie zielenią się przed naszymi oczami, — a taż sama gruda nie ukrywa prochów nam drogich? Czyż wieki nie położyły pieczęci na długoletnich związkach, — na całym współżyciu? Jak baśń kryształowa

przebija się przez wierzenia ludu podanie o Kazimierzu Wielkim i nadobnej Esterze z ich potomstwem Niemiryczami i Pełkami. A ten król najbardziej chrześcijański, — najbardziej katolicki, ale i najbardziej sprawiedliwy, co szedł ratować Zachód przed powodzią mahometańską i odsieczą wiedeńską zarobił sobie na miano „światła z nieba“ — nie rozstawał się z swoim skarbnikiem, Jakóbem Becalem, a zdrowie powierzał wypróbowanemu, wiernemu Jonasowi... Sobieski i wcześniejszy Batory, bronili wytrwale żydów przed pogłoskami o mordach rytualnych, zasłaniali majestatem i powagą uciśnionych, odwracali od nich nieszczęścia, łagodzili dolę wygnańców. I o dziwo! — zdarzył się taki wypadek, — że mądry Zygmunt Stary zatwierdził żydowi „szlachectwo jerozolimskie“ i zabraniał komukolwiek naganiać mu gminne pochodzenie... Było wiele chęci i pragnienia w Rzeczypospolitej do zgodnego, cichego istnienia z wszystkimi. Ale duch czasu, waśnie religijne, samolubstwo szlachty, chciwość, krótkowidztwo, naniósł ziarno nieszczęścia i rozdzwojenia, rozdmuchały zarzewie złego i przygotowały żyzny grunt pod przyszłe chwasty. Chłop, prawie jeszcze wolny, dumny dziedzic w XIV. wieku, — zawleczony został do jarzma, przykuty do gleby, sponiewierany, obdarty z godności i odcięty, niby sucha gałąź, od narodowego drzewa; świtka wieśniacza zamieniła się w szatę cierpienia, ciemności i gwałtu. Mieszczanin, — pan nad pany, — często bogaty patrycyusz, — podpora handlu i przemysłu ojczystego, — ugiąć się musiał pod ustawodawstwem szlacheckim, które zazdroszcząc mu powodzenia, — postanowiło puścić go z torbami... Znikli wnet potomkowie znakomitych Bonarów, Altembeków, znikł cały świat, całe morze, mieniające się

bujną, żywiołową mocą, — runęły podpory dobrobytu i gospodarczej potęgi, — pozostawiając na swojej ruinie pole leżące odłogiem dla wzrostu możnowładczej samowoli. Zmarniały miasta, zmarniały wsie, — a z niemi i krew obiegowa narodu. Ponieważ zaś złe nigdy samotnie nie kroczy i szuka sobie stadła, — więc przyłączyło się do tego nieszczęścia i drugie, prześladowań religijnych, wzmożenia się prądów zacofania, braku poszanowania dla wyznania drugich, nagonka na wolnomyślność, dochodząca szczytu w spaleniu, za Sobieskiego — niewinnego człowieka, Kazimierza Łyszczyńskiego, posądzonego o niedowiarstwo. Aż zgroza! Na siołach pańszczyzna, samowola, nie gorsza nie lepsza od starożytnego niewolnictwa, — nahaj ekonomiczny nad twardym chamskim karkiem, — pod którego razami usta spoconego kosiarza śpiewały pieśń żalu do jutrzni „oka słońca złocistego“ za poetą Szymonowiczem; w miastach, — przygłuszonych i zduszonych twardym prawem, — bieda i martwota; w całym kraju — wzrost kierunku teologicznego, przewaga zacofania i bigoteryi, — faryzeuszowstwa, z którym walczył nielitościwie już Klonowicz w „Worku Judasza“. — Jakżeż się oburzać, — że w podobnych warunkach zamknięto żydów na setne rygle w *ghetto*, — oddzielono ich otchłanią przesądów i zapamiętałości stroniczej od reszty społeczeństwa, skazano na utworzenie państwa w państwie, i zmuszono do prowadzenia odrębnego istnienia, — odgrodzono murem chińskim od świata, od nauki, od rozwoju.

Prawda, duch czasu wszędzie to samo wycisnął piętno, wszędzie zakopał szatański posiew i dopiero wieki odkopać i zniszczyć go miały.

Nie było lepiej we Francyi, ani w Niemczech, gdzie tysiącami palono czarownice, nie było lepiej nigdzie. Pchano tedy żydów do *ghetta*, tego oddzielnego kurnika, nie dawano im żadnych praw, — tylko wyciskano upokarzające podatki, — odtrącano i sporniewierano, jak chłopów i mieszczan. To odosobnienie nie było jeszcze tak straszną dla nich dolegliwością... Ale nie dozwolono im handlować i mieszkać w miastach, chyba na podstawie układów i zgody magistratów, — wyrzucono nawet za Stanisława Augusta o milę za Warszawę, — dokąd mieli wstęp tylko na krótki czas za biletem marszałkowskim. Chcąc nie chcąc rozpraszali się po wsiach, dzierżawili stawy, młyny, arendy, zajmowali się szynkiem i faktorstwem, — nie imali się natomiast roli, widząc smutną dolę chłopka i nazywając z tego powodu Polskę „piekłem wieśniaków“. Żyjąc z wódki i lichwy, wpływali ujemnie na lud, — ale winy za to nie ponosili. „Arendarz siedział w karczmie szlachcica, — mówi znany historyk — który w zamian za zyski, — pozwalał lud ciemny upajać i łupić“. W końcu wiele województw odebrało im prawo wyszynku, pozbawiło środków do życia i dało w dłoń kij żebraczy. Nie mogąc na żadnej pewnej podstawie oprzeć bytu, — w walce o chleb — o utrzymanie rodziny, chwyтали się rozmaitych oszukańczych sposobów, opłacali się prześladowcom, byle nie zginąć zupełnie, — bez własnej, a nawet wbrew własnej woli paczyli swój charakter. Zło zaiste strasznie się rozkrzewiło i potworne przybrało rozmiary, ale dlatego właśnie chyliło się ku upadkowi. Bo i łaża się osusza, ustępując śmiechowi, — i po burzy tęcza się ukazuje, — a na świecie zawsze już tak było, — że po ucisku, po gnioście, — po skopaniu ludzkości, —

budził się odruch do wyzwolenia z pętów. Walczyli heloci w Sparcie z swymi ciemieżcami, — wieki szamotali się plebejusze z stanem rodowej arystokracji w Rzymie, chłopi burzyli się już w XIII. wieku w Anglii, w XVI. w Niemczech i ostatecznie świt nadszedł. Krzywda musi zrodzić sprawiedliwość, choćby jej wymiar tłumiono, Bóg wie jak długo. Dość przypatrzeć się, jak rzeki, ścieśnione wałami, olbrzymami — skałami, wyrzeźbiają sobie koryto, wyrwają się i podążają za naturalną popędliwością. Człowiek jest urodzony do wolności — dlatego musi kruszyć kajdany, musi iść za światłem i nieść kaganek w ciemnie dla drugich. Nic straszniej duszy nie upadła nad skrepowanie i nic zbiorowiska ludzkiego, narodów, bardziej nie obniża, nad wyrzucie się z troski o swobodę.

Te to podniety wywołały potężny, płodny ruch, zwany rewolucją francuską, która błogosławieństwo zesłała dla biednych, poniżonych, zapomnianych przez historię, skazanych na potępieńczą rolę. Spłynęły wprawdzie rzeki krwi, setki niewinnych ofiar padło pod ciosami rozjuszonych tłumów, burzących się przeciw staremu porządkowi rzeczy, — ale z tych gruzów, zbryzganych posoką, — wykwitło nowe życie, — jak często pędy puszcza roślina, lub kwiat najzdobniejszy na świeżej, dopiero co wzniesionej mogile. Sprawa ludu, sprawa krzywdy, zwyciężyła, ogłoszono prawa człowieka pod godłem: wolność, braterskość! Wszyscy synowie francuskiej ziemi, mieli być odtąd zrównani w obliczu prawa, bez różnicy na religię, wszyscy mogli się dobić pracą najwyższych godności, — wszyscy mieli zapewnione poszanowanie dla swego stanu i pochodzenia. Jutrznia! Wnet dziecko potężnego przewrotu, genialny wojownik, — Napoleon, wezwać

miał żydów do kupienia się pod jego sztandarami, aby dźwignąć mury Jerozolimy!... W Niemczech, świętny pisarz Lessing, szermował za wyzwoleniem tułaczego narodu, a i w Polsce wypadki wstrząsające zachodem, gromkiem odbiły się echem.

Źle się działo w tym nieszczęśliwym kraju.

Swawola, bezrząd, samolubstwo magnatów, brak poczucia obowiązku, upośledzenie szerokich warstw ludu i mieszczaństwa, wytworzyły bezład wewnętrzny, rozprzężenie, a kłótnie między panami, ułatwiały zabory ościennym państwom. I waliła się i ginęła potężna Rzeczpospolita, rozsypywała w gruzy, — niszczone dłonią własnych wyrodných synów. Ludzie zacni, którzy chcieli ratować ojczyznę nad otchłanią, starali się pod wpływem wydarzeń we Francyi, przeprowadzić nowoczesne zmiany na sejmie czteroletnim i uchwalili konstytucyę, czyli ustawy zasadnicze, dopuszczające mieszczan do udziału w życiu publicznem, biorące chłopów pod opiekę prawa i wprowadzające inne korzystne przeobrażenia. Nie zapomniano i o żydach. Już Stanisław August zniósł generalne zjazdy żydowskie, pewien rodzaj synodów, utrzymujących tłumy biednego pospólstwa w karbach rabinów, którzy w nich przytłumiali wszelkie poczucie do samodzielności, — do myślenia, — do rządzenia się własną wolą, a nie nakazem i przykazem, wychodzącym z ust cudotwórców.

Raz po razie znakomici, postępowi mężowie, jak Piattoli, posłowie Linowski, Czacki, a szczególnie podkanclerzy, ksiądz Kołłątaj, krzatali się koło wymierzenia sprawiedliwości żydom, nawoływali do poprawy ich doli. — Poseł Butrymowicz przytaczał powiedzenie słynnego filozofa Lockego : „człowiek rodzi się ni złym

ni dobrym, ni rozumnym ni głupim, przychodzi na świat z sposobnością stania się pierwszym lub drugim, a to według okoliczności, które go w życiu otaczać będą". Osobna komisya sejmowa zajęła się projektem reformy żydowskiej. Pojawiły się głosy i myśli, dążące do usamowolnienia ważnego odłamu społeczeństwa, mieszkającego na polskiej ziemi; wystąpili sami izraelici, jak n. p. faktor królewski, Abraham Hirszowicz, z różnymi planami, wszystko jednak pozostało w zakresie pobożnych życzeń, bo bądź skutkiem oporu zacofańców, bądź z powodu nadciągającej burzy, sprawa nie została załatwioną, przesunęła się jak cień ostrzegawczy przed przedstawicielami narodu i jak cień znikła. Nadeszły ogromnie ciężkie chwile walki swoich z swoimi, starcia się fałszu z prawdą, nikczemności z cnotą i poświęceniem. Wyrodni ludzie skleili związek w Targowicy, dla zniszczenia płodnych uchwał sejmu wielkiego, wezwali na pomoc Rosyą i przyspieszyli drugi — a za nim trzeci rozbiór. Zerwał się jednak naród do broni, nie mogąc dalej znieść ucisku, wyzuwania go z ojczystego łanu i nakładania obroży. Na czele powstania stanął mąż nadzwyczajnej prawości, niezawisłego, czystego sposobu myślenia, szermierz za swobody. Tadeusz Kościuszko zyskał już rozgłos, bijąc się o niezawisłość północnej Ameryki przeciw Anglikom, jednając sobie szacunek słynnego Waszyngtona i podziw zaborczych albiońskich wyspiarzy. Nauczywszy się cenić na drugiej półkuli małuczkich, bezimienny tłum, przejęty dodatnimi hasłami wstrząsającego wszystko od podstaw ruchu francuskiego, postanowił i na rodzinnym gruncie rozplenić zdobycze oświaty i przyszłość Polski na nowych zgoła oprzeć podstawach. Wielu ludzi u nas, jak świętny Ignacy Potocki, marszałek sejmu Małachowski,

rozumiało wartość mas, wiedziało, że zwarte społeczeństwo stanowi dopiero całość, a naród bez chłopca czy mieszczanina, oddany na pastwę klasy uprzywilejowanej, przypomina wprawdzie eleganta, błyszczącego świetnem ubraniem, ale chromego lub niewidomego, wadliwego, pozbawionego rzeczywistych składników, zestrzajających się w piękną jedność. Ludzie ci najlepszej woli wiele deklamowali, trochę działali, na każdym jednak kroku załamywali zawsze ręce wobec wyłaniających się trudności, niechęci swoich i wstrętu ogółu do wszelkiej nowości, uszczuplającej stan posiadania wielmożów i licznej rzeszy szlacheckiej. Na tym padole nigdy prawda zaraz nie była górą, wolno torowała sobie drogę, przeciskała się przez wyboje, tajała jak powłoka lodowa, ogrzana słonecznym blaskiem dobrego, w duszy człowieka drzemającego, instynktu, aż wreszcie rozlewała się wspaniałą rzeką, pochłaniając brzydkie bodiaki kłamstwa, ciemnoty i uprzedzenia.

Kościuszko nie rozprawiał, ale niósł czyn, — przestał się oglądać na wyłączność szlachecką i zapragnął odrodzoną Polskę przepoić pierwiastkami postępu i współdziału w pracy wszystkich warstw i wyznań. W ciżbie chłopskiej i mieszczańskiej widział lekarstwo na wyzwolenie ojczyzny z pod obcej przemocy, w przygarnięciu każdego do łona wspólnej rodzicielki jedyny środek do wydobycia go z pleśni zacołania i postawienia w rzędzie zdrowych społeczeństw. Szła od niego siła nieznanego życia, — szła czarowna moc wiosny dla zbiedzonych i zdeptanych, szedł maj z wonią przyszłości, z oddechem wolności. I stało się, jakby ktoś do zatęchłego, ciemnego, zamkniętego ryglami, zagwoźdżonego więzienia, napuścił nagle światła, powietrza i blasków, — stanął na progach



i zawołał donośnie: chodźcie za mną, otworzę wam nieznane królestwo i usadowię obok karmazynów i wielkich tej ziemi, abyście współrzadzili i nieznali więcej co poniżenie, co ucisk i cierpienie! Jego program zasadzał się na równości wszystkich, był szczerem i śmielszym rozwinięciem zasad konstytucyi majowej, był potężnym uderzeniem młotem w twierdzę dawnej zaskorupiałości, aby się rozleciała w kawały i pozostawiła po sobie ślady jedynie w historycznej pamięci. Każde jego odezwanie się do obywateli, cechowało uczucie oddalenia się od smutnych stron przeszłości, chęć wydzwignięcia narodowego gmachu na innych, niż dotychczas fundamentach, naprawienia win jednej kasty i pragnienie pójścia za prądem czasu. Kościuszko — to wcielenie zdobyczy stuleci, — myśl demokratyczna, zwiastun blasku cywilizacyjnego, ogromny odkupiciel wiekowych grzechów. Sztandar, który podniósł nad głowami swoich, nie był wyłącznie odezwą do obrony przeciw najeźdźcom, — nie przedstawiał samych politycznych ideałów, — ale także znaki wyzwolenia się z przesądów, — wyobrażał pług, który miał zaorać stare uprzedzenia w obrębie samego społeczeństwa. Nigdy i nigdzie nie społy się tak ściśle boje o wyjarzmienie się z pod przewagi obcych z usiłowaniami zrównania wszystkich, — jak w Polsce, — bo bez udziału tłumów sprawa narodowa mogła z chwałą zginać, ale nie zwyciężyć z chwałą. „Kto nie z nami — ten przeciw nam“ — tkwiło w zasadach Kościuszki, obojętne, czy to był bogacz czy łachmaniarz. Pod wpływem podobnej zachęty zerwał się wieśniak i kosa chłopskie przeważyły pod Racławicami zwycięstwo na rzecz polskiej sprawy. Wojtek Bartos, Świstacki, — ci dostojni Piastowie w siermiedze, — przeszli do

dziejów na równi z najlepszymi, — Dąbrowskim, Poniatowskim i wielu innymi. Niby plenny łan zbożowy podniósł się urok niewidzialny z polskiej ziemi i pierwszy raz naród przestał być szlachtą, a został tem, czem był w istocie. Wybuchła i Warszawa, spłynęła w ofiarności i czynach szewca Kilińskiego i zacnych mieszczan. Gdy pożar powstańczy ogarnął Rzeczpospolitą i bój na śmierć i życie toczył się na dalekich krańcach, — ocknęło się *ghetto*, piorun wpadł do zaśniedziałych zakamarków żydowskich, wstrząsnął odrażającym chałatowcem, — i wyrzucił go z niewysłowionym rozmachem przed ołtarze świętej sprawy. Obok Głowackiego, przedstawiciela rozbudzonego chłopstwa, — stanął Berek syn Josła, — siewca i wykonawca myśli naczelnika o konieczności łącznego pożycia i łącznej pracy synów tej samej ziemi. Ten chłop z Rzędowic, ten żyd z Kretyngi, ten mieszczanin Kiliński z Warszawy, doskonale się dopełnili, utworzyli w trójcy widome przeobrażenie się stosunków, — stanęli słupami granicznymi na rozkopie minionych epok, błysnęli potęgą zrozumienia chwili. Oni wyrazili program i pragnienia Kościuszki tak, jak woń jest treścią kwiatów. Wyrośli nieznani, istni rycerze-czarodzieje z swojej gleby, wyrzuceni na powierzchnię przez wypadki, wybudowali nagle twardym dębem, aby być drogowskazem dla pokoleń. Ich przeszłość była kartą zakrytą, — terażniejszość gorzała płomieniem ofiarnym.

Berek dzielił niewątpliwie losy dzieci żydowskich z owego czasu, skazanych na siedzenie w chederze, uczenie się ksiąg świętych, — jak synowi dobrych chasydów przystało. Urodził się w Kretyndze, w litewskim miasteczku nad Okmianą, niegdyś własności nieśmiertelnego wodza Karola Chodkiewicza, a w epoce,

o której mówimy — biskupa wileńskiego, Massalskiego i jego siostrzenicy Heleny, wydanej za księcia Karola de Ligne, Francuza, później przyjętego w poczet szlachty polskiej. Naonczas nie tylko drzewa, stawy, trawy, łąki, lasy, łąny, należały do właściciela, ale i dusze ludzkie. Był on ich niedosiężnym panem i królem. A taki Massalski, choć wcale nie pierwszy w Rzeczypospolitej, władniejszy był od niejednego z książąt rzeszy niemieckiej, przegrywał po 100.000 dukatów na noc i utrzymywał na żołdzie cały pułk, zwerbowany z ochotników francuskich. Pieniacz, przechera, bez charakteru i prawości, — posiadał przecież ogładę światową, rozległe stosunki w Paryżu i chciał błyszczeć urokiem niepospolitej świetności. Pod bokiem wielkopańskiego dworu, w Kretyndze, a może i w niedalekich Werkach, spędził dzieciństwo Berek w ojcowskiej sadybie i jakoś niechętnie oddawał się ślęczeniom nad hebrajszczyzną, — spędzając czas z rówieśnikami na udanej wojaczce, na struganiu szabelek z drzewa i gromieniu niemi malców, towarzyszków zabaw. Młodzieńcem oglądnać się musiał za stanowiskiem — a jakież go czekało? Wszędzie miał drogę zamkniętą i do handlu i do wiedzy i do warstatu w mieście, — widział poniżenie i spętanie swoich, więc wybierając między szynkiem a faktorstwem, poświęcił się drugiemu, oddał się na usługi księcia-biskupa, ocierał ustawicznie o jego magnacki, opolerowany pałac i jeździł w interesach swego pana do Paryża i Brukseli. To było dla niego szczęściem. Przyswoił sobie jako tako język francuski, widział u księstwa de Ligne wielu znakomitych ludzi, słyszał dużo, wchłaniał w siebie wiadomości, nabywał ogłady i pełną piersią oddechał powietrzem rewolucyi. Drzeć w nim

musiały nerwy i dusza rozchyłać się do hasła, niosącego równość, to też wystąpienie Kościuszki stanowiło dla niego urzeczywistnienie snów wymarzonych, — dźwignięcie Judei do godności obywatelskiej.

Nie wahał się ani na chwilę.

Zgłosił się wraz z druhem swoim, Józefem Aronowiczem, do naczelnika, ofiarował usługi i otrzymał pozwolenie na utworzenie lekkiego pułku ułańskiego, złożonego z samych żydów, w liczbie pięciuset. Sam dostał nominację na pułkownika i 3000 złotych polskich na potrzeby nowozacieżnego żołnierza. Zachęcony patryotyzmem kretyngskiego żyda, podał Kościuszko fakt do publicznej wiadomości w odezwie z 17. września 1794 r. i przy tej sposobności wspominał, jak podczas przyłączenia się Warszawy do powstania w kwietniu, — Izraelici porwali za broń, stanęli w szeregach z obrońcami wolności, nie szczędzili krwi i nie mało przyczynili się do wyparcia Rosyan z stolicy. Wynosił też pod niebo sławne dzieje Syonu, bohaterские walki Machabeuszów, przypominał odparcie najazdu macedońskiego, rzymskiego i biblijne postacie Awnera, Jefty, Joaba... Z każdego słowa naczelnika przemawiało serce, cześć dla pamięci wielkodusznej historii potieranego narodu, — przemawiało współczucie i pokłon storozytnej świetności. Oszołomiony życzliwością wodza, ogłosił pułkownik Berko, 1. października 1794 r. odezwę do współwyznawców, której słowa brzmiały, jak tony modlitewne kapłana, jak krzyk niewolnika, zdzierającego kajdany, jak uosobienie rycerskości, odwagi i najszlachetniejszej dziarskości. Po raz pierwszy żyd głośno i szczerze nazwał Polskę swoją ojczyzną i wzywał „dzieci plemienia Izraela“ do odmłodzenia się i odzyskania świeżej krwi, wyswanej



„przez jadowite węże już od tylu lat“. Ażeby zaś trafnie uderzyć w strunę tradycji, w strunę wspomnień o wodzach, zesłanych Izraelowi przez niebo, aby wskrzesić bohatera Jozuego, echo trąb jerychońskich i łaskę Pana w arce przymierza okazaną, sławił Kościuszkę, jako Apostoła wiekuistego Boga. „On to posiada wszelką zdolność, — oświadczał Berek — on dobry umysł i łaskawe serce ku bliźniemu, on naczelnikiem obrony. Ztąd, mili bracia, bierzmy sobie przykład, on, mąż tak wielki i tylu innych mężów wielkich, posiadających zaiste już dużo wolności, pragną przeciw jeszcze wolności i odzyskania ojczyzny. A czemuż to my uciemienieni od wszystkich ludzi na tym świecie? Wybierzcie się więc i wezwijcie wszechmogącego Boga na pomoc, on będzie waszym obrońcą. Ten, który z większych kajdan nas oswobodził i teraz nam będzie pomocnym. Powstańcież! Otwórzcież zamknięte oczy! Czemuż to nie mamy pracować, zyskać wolności, tak pewno i szczerze nam obiecanej, jako i inszym narodom na świecie. Ale wprzód trzeba na nią zasłużyć. Czy rozumiecie, że myślę mój własny naród wystawiać na zgubę, albo moich współbraci dusze z tego świata wyprawiać? Nie! Kochani bracia, spodziewam się po Wiecznym Wszechmocnym, ani wątpię, iż teraz przyszedł szczęśliwy czas poskromienia nieprzyjaciół. Wieczny w niebie tego chce, już są tego znamiona. Nic nam nie trzeba, jak być zgodnymi i mężne, bohaterskie mieć serca. Bóg wszechmocny z wami, a ja wam przewodniczę! Gdzie będzie niebezpieczniej, tam ja pójdę, a wy dopiero za mną! Więc kochani bracia, ja miałem szczęście za rozkazem naczelnika najwyższego pułkownikiem zostać, obudźcież się, pomóżcież odzyskać uciemioną dotąd Polskę!

Wierni bracia! Walczmy za ojczyznę, póki w sobie mieć będziemy kroplę krwi. Gdyby i my się nie doczekali tego, to dziatki nasze przecież mieszkać będą bezpiecznie i swobodnie i nie będą się tułały, jak dziki zwierzęta. Kochani bracia! Obudźcie się jak lwy i lamparty, za pomocą Boga połknijemy tych nadętowielkich. Nie czekajcie, póki was gwałtem wlec wypadnie; dobrowolni awansowani będą przy popisie!...”

Odezwa kretyngskiego faktora, przedzieźgniętego w pułkownika, — podziałała, jak wybuch wulkanu, miotającego płomienną lawą, — uderzającego pod niebo, — brzmiała dźwiękiem grzmotu, słodyczą prośby, mieniła się uśmiechem błogiej przyszłości. I zaklinał i błagał i groził, poruszał wszystkie tony i wszystkie drgnienia. W potężnym boju o wolność chciał ją wywalczyć dla swoich i wynieść z pola bitwy białego gołębia przebaczenia i pojednania dla synów jednej macierzy. Niezachwianie wierzył w zmianę przekonań społeczeństwa — i stawał do rozprawy, — jeżeli nie dla korzyści własnej — to przyszłych pokoleń. Polska była w tem odezwaniu się taką muzyką czynu, jak u Mickiewiczowskiego Jankła, melodyą, dźwięczącą dziwną tęsknotą za kłosem na naszym ugorze, za ruczajem, — za limbą i oddechem zbiedzonej ziemi. Wnet zobaczyć można było zejście siejby męskiego, odważnego głosu. Widowisko nie lada! Pan, wielmoża, książe kościoła, Massalski, zawisł na szubienicy obok innych, za zdradzenie Rosyanom sprawy powstania, a jego sługa, oficyalista, rozpalał znicz narodowych uczuć, budził swoich, wyprowadzał z ciasnego odosobnienia!... Jeszcze w czasie oblężenia Warszawy przez sprzymierzeńców Rosyan, Prusaków, nie szczędzili Żydzi trudów, zaciągali warty, sypali szańce, garnęli się

do wojska i zbierali się na najbardziej zagrożonych punktach. Nigdzie ich nie brakło, patrzeli śmierci w oczy, nieśli mienie, zdrowie i krew w ofierze. Ocknęło się w nich rycerstwo. Pod wpływem uświadomionego patriotyzmu runęła ściana, oddzielająca *ghetto* od ludności polskiej, nastąpiło zlanie się serc i splecenie rąk, — spowicie bluszczem najpiękniejszej i wymarzonej zgody. Teraz, — po alarmie Joselowicza, — kto mógł, podążył pod znaki chwały. W niespełna w cztery tygodnie zgromadził się regiment, człek w człeka gotów iść na stracenie, na położenie się trupem przed ojczystym okopem. Rozgrzani przykładem Berka spieszyli Żydzi do obozu, strażowali, nie opuszczali obwarowań, świecili wzorem mieszczanom, wykonyującym niedbale obowiązki i narodowej kawalerii, trawiącej czas w teatrach i przy bilardzie. Wśród ciżby ludzkiej, mężczyzn, kobiet, proletaryatu i przednich warstw, — podążającej dzień w dzień na przedmieście Pragę z pieśnią na ustach dla sypania wałów, snuło się mnóstwo siwobrodych, pogarbionych, wątłych starszków semickich, z łopata w drżących dłoniach, — aby trochę grudy skopać dla osłony Warszawy. Zmilkły w nawale zajęć rytualne chorały, — w piątki nie paliły się nocą płomyki świec, przycichły sobotnie modły, — odbieżono tory. Od świtu do późnych zmierzchów objeżdżały czujne wedety żydowskiego pułku linie obronne, wierne i pewne. Gdy niewolnika schwytano, nie umknął z ich garści. Czuli poeta Karpiński, świadkowie współcześni, Karol Woyda, Kierzkowski, Czacki i inni, znaleźli dla zachowania się żydów hymn podziwu i czci...

Prężyły się nerwy, ścinała krew w oczekiwaniu rozstrzygnięcia. Warszawa wzięta, Warszawa wolna, —

to jarzmo, grób, — lub jutrznia Polski! Rosyanie opasali zwartym pierścieniem miasto, od czasu do czasu ścierali się z obrońcami w podjazdowych wycieczkach, odcinali im żywność i strzałami dział niszczyli reduty. Ich wódz Suworow, stary, doświadczony wilk wojenny, posiadał równą miarę talentu, co cierpliwości i wytrzymałości. Czwartego listopada 1794 r. nastąpił szturm generalny, moment prawdziwego gniewu Bożego, zwarcie się straszne, mordercze, zapasy iście bohaterskie. Wydzierano sobie każdą piędź ziemi, zdobywano każdy sążęń, — człowiek mierzył się z człowiekiem, jakby fale napierające na siebie i niechące się przepuścić. Sto armat grzmiało z Pragi, — zaciekle bronionej przez generała Zajączka. Mnóstwo ludzi ginęło w Wiśle lub w trwodze, rozmyślnie po szyję zanurzało się w rzecze, oczekując końca. Wnet wdarli się Rosyanie do wnętrza dzielnicy i rozniecili straszny pożar. Ocean płomieni ogarnął drewniane domy; kobiety i niemowlęta oddawano na pastwę rozszalałego żywiołu. Na pewnym dziedzińcu tuliły się dzieci żydowskie. Kozacy nabijali je na spisy lub jeszcze żywe sprzedawali po złotym. W ten sposób uratował pamiętnikarz rzezi, Nufer, — z rąk katów kilkadziesiąt niebożąt, za które mu zaraz żydzi w Warszawie wydatek zwrócili. „Straciłem na tym handlu tylko cztery złote, — pisze z smutną ironią wspomniany świadek — gdyż tyle bachorków zemknęło mi w ciżbie, gdyśmy wysiedli na brzeg“. Sprzęty, dobytek rozbiła podniecona trunkiem dzicz, grabiąc, mordując, co się nawinęło pod rękę. Za trzydzieści pięć złotych i srebrnych zegarków płacono po rublu sztukę, kapelusz pełny złamanego srebra nabyć było można za dwa i pół reńskich!... Spustoszenie nie-  
liłościwe, rzeki łez, wruszyły serce Szmula Jakubowicza,



zwanego Zbitkawerem, dostawcy Jego Królewskiej Mości Stanisława Augusta, ale i zarazem liweranta wojsk rosyjskich, człeka milionowego, siadującego na dwóch stołkach i zapalającego równocześnie świeczkę Bogu i dyabłu. Dotknięty tragicznym, wokół roztaczającym się widokiem ogłosił, iż ktokolwiek przyprowadzi żywego mieszkańca Pragi, czy żyda czy chrześcijanina, otrzyma dukata w złocie, a srebrnego rubla za umarłego dla urządzenia mu pogrzebu. Dwie baryłki po brzegi napełnione pieniądzem stały w podwórku Szmula i obie rychło wypróżniły się... W ogromnej większości zasłały ulice żydowskie trupy, — ogółem zginęło przeszło 12.000 osób. Z pułku Berka ocalało zaledwie kilku niedobitków. On sam, cudem uszedł śmierci i dostał się do niewoli austriackiej, podobnie jak generał Zajączek, który oddał się w dłonie wodza rakuskiego Harnoncourta... Kampania skończyła się, nie został kamień na kamieniu, wyrosły tylko nowe mogiły i rozpoczęło się tułactwo najlepszych synów Ojczyzny. Znikło państwo potężne, zasłużone, bogate, płynące na kresach ukraińskich miodem i mlekiem, — znikło silne przedmurze Europy na rozstajnych drogach między zachodem i wschodem właśnie wtenczas, gdy poznawszy i uznawszy swoje błędy i grzechy przeszłości, dźwigało się z upadku, biegło ku słońcu, roztwierało ramiona postępowi i dążnościom do szczerzej skruchy i poprawy. Zostawiło tylko w pamięci osierociałemu potomstwu mądrą Konstytucję 3-go maja, czyny Kościuszki, chłopca Głowackiego i żyda Joselowicza. Ci, co pierśią swoją zagradzali wrogom dostęp do Ojczyzny, poszli bądź do więzień, bądź szukali schronienia daleko od swoich sadyb w gościnnej Francji i tak zaczęło się pielgrzymstwo, wędrówka z kijem

w rękę, — tulenie się do obcego poddasza. Unieśli ze sobą wygnańcy ukochanie Polski i tęsknotę za rychłym powrotem; ciągnęli żórawim kluczem i pragnęli razem kiedyś ogrzać się przy własnych ogniskach. Dola rozbitego i pobitego ludu miała pewne podobieństwo do zmiążdżonej Judei. Tyle wysiłków, tyle zachodów, tyle krwi i wyteżenia nie przyniosło zbawienia, ale oczyściło winy w ogniowej próbie, odmłodziło naród, wlało do czaszy jego goryczy uzdrawiające krople życia duchowego, nowego rozwoju i pojęć. Istnieje podanie o trującej roślinie mandragorze, której jad daje zapomnienie i na niepamięci przeszłego bytu, zaszczepia czarowne, dziwnie ponętne mamidła. Dusza polska wchłonęła taką roślinę i snuła obłoczystą pajęczynę wolności, zawieszoną w sennej strzesze wieśniaczej, — w pracowitym warsztacie mieszczańskim, w szlacheckiej roli i magnackim pałacu. Na jakiś czas nie zajmował się Polak nauką, codziennym mozołem, — bo oddechał pragnieniem odzyskania swojego, odebrania wydartej własności. Zjawienie się na widnokręgu Napoleona, — owego pioruna — burzyciela, co Europę z posad ruszył, tchnęło w zwątpiałych, opuszczonych, nadzieję nieskończoną, ślepą wiarę w pomyślny obrót rzeczy dla pogwałconych i wydziedziczonych. Przecież on, niebawem samowładca, był dalszym ciągiem rewolucyi, wyłonił się z jej rdzawych mętów, wypisał na swoich chorągwiach godło wyzwolenia z tyranii ludów i gdzie stąpił, wprowadzał wolnomyślne urządzenia francuskie, walił despotyczne trony, budował nowe republiki i dzwonił na zmartwychwstanie uciśnionych. Smagał biczem Attyli Rosyę, Prusy, Austryę, rozbiornicze monarchie Piastowskiej dziedziny, — ugiął, druzgotał potężnych tego świata, rozdawał i zdzierał korony. — Polacy

zapatrzyli się w to wschodzące cudo i na niem wznieśli epokę swego ratunku. Kościuszkowski generał, Henryk Dąbrowski, utworzył z polecenia Bonapartego oddziały wojsk polskich, zwane legionami, które miały walczyć we Włoszech przeciw Austrii za sprawę francuską, w rzeczywistości za ojczyznę. Wraz z osłabieniem mocarstwa, które czynnie przyłożyło się do dzieła zniszczenia Polski, wraz z powodzeniem francuskiego oręża, wzmagало się przekonanie, iż genialny pogromca i zaborca, z wdzięczności zechce dopomóc uciemionym. Wyborowi ludzie, znakomite nazwiska, szeregowały się pod włoskim niebem, a w rzędzie pierwszych znalazł się i pułkownik Berko, któremu udało się zbiedz z celi więziennej.

Czyny legionów — to łańcuch o złocistych ogniwach męstwa i niebywałego poświęcenia. Z pieśnią Wybickiego „Jeszcze nie zginęła“ szedł żołnierz polski na śmierć, zdobywał twierdze, wygrywał, gdy inni przegrywali, bez butów i chleba wdierał się na szaniec, przechodził w bród rzeki, góry, ranny podnosił się i włókł do boju, z obciętą ręką i nogą dosiadał konia i pędził i pędził, aż mu ostatniego tchu starczyło. Czego oni nie robili, gdzie nie byli! Magliano, Fabrica, Fallari, Calvi, Mandragone, oglądały ich orężne dzieła, godne nieśmiertelnego wawrzynu i rapsodu Homera. Ze zdobytej pod Gaetą na Neapolitańczykach, sprzymierzeńcach Austryaków, stadniny, utworzono kawalerję i powierzono jej dowództwo Eliaszowi Tremo, Biernackiemu i Berkowi Joselowiczowi, mianowanemu szefem szwadronu. Ale powodzenie wojenne, jak wszystko na tym świecie, uległo chwilowej zmianie. Nastąpiły i klęski, poddanie się twierdzy Mantui, — zdziesiątkowanie polskich hufców. — Zaniepokojony

porażkami powrócił Napoleon z dalekiej wyprawy do Egiptu i chcąc wziąć odwet na nieprzyjaciółach, — zwrócił szczególniejszą uwagę na Polaków. Z porady i pomysłu generałów Sokolnickiego i Kniaziewiczza zgodził się na formowanie nowego legionu nad Renem, głównie w Strasburgu, stąd nadreńskim lub nad-dunajskim zwanego, któremu przeznaczono ważną rolę w gromieniu wojsk austriackich. Jakby pod dotknięciem różczki czarodziejskiej skupiali się ochotnicy polscy, biegli z dalekich krańców i w sprawne przetwarzali się szyki. Dąbrowski przesłał przyjacielowi Kniaziewiczowi najzręczniejszych i najświetniejszych oficerów, aby świeżą formacją przygotowali do wojennego występu. Przybyli między innymi doskonały jeździec Różniecki, późniejszy dyktator listopadowego powstania Chłopicki, Drzewiecki, Fiszer, — no i Berko, uznany za pierwszorzędnego kawalerzystę i dzielnego oficera, mającego za sobą prócz Kościuszkowskiej dwie kampanie, odbyte za Alpami. Skromny, żądny służyć jedynie dobrej sprawie, przyjął stopień kapitana, choć był już pułkownikiem. Kniaziewicz otaczał go niezmiernym szacunkiem i cichem uwielbieniem. Niedługo czekali nasi na rozprawę. Po rozmaitych mniejszych bitwach, przyszło pod Hohenlinden do walnego rozstrzygnięcia z armią arcyksięcia Jana, uwieńczonego zwycięstwem Francyi. Berek brał udział w najniebezpieczniejszych szarżach, zwłaszcza w starciach pod St. Christophe, koło Hohenlinden, następnie znajdował się w komendzie Sokolnickiego, która poszła na pomoc dywizyi Lecourbe'a walczącej pod Salcburgiem. Napoleońskie wojska były wszędzie górą. Wykorzystał też genialny wódz szczęśliwe położenie i zawarł z cesarzem Franciszkiem pokój w Luneville, a kierując się

*Plas.*

wyłącznie samolubnymi względami, zapomniał o usługach polskich, o krwawicy nadreńskiego oddziału. Zastępy Kniaziewiczza przezimowały w Wyższej Austrii, poczem odebrały rozkaz wymarszu do Włoch. Bez obuwia, ze zdartą odzieżą, wyniszczone, z rozwianą nadzieją, z niezgłębionym smutkiem w duszach, wracały do stóp Apenin z Sokolnickim na czele, drogą przez Szwajcaryę. W pierwszych dwóch kolumnach pod rozkazami Turckiego, zwanego później Wojciechem Sarmatą, oddano kierownictwo nad znaczną częścią jazdy dobrze zasłużonemu w wojnach Kościuszkowskich Zeydlitzowi i Berkowi. Jakież musiały miotać nim wzruszenia, jakież wstrząsać bolesne zawody! Zamiast wolności, — wiódł znękaną garść przez ostępy i rubieże, na niepewny znowu los... A gdy nareszcie stanęli na miejscu przeznaczenia, wcielono legion naddunajski do regularnej armii francuskiej pod nazwą pół-brygady cudzoziemskiej. Jazdę legii zachowano w całości i oddano na usługi rzeczypospolitej cyzalpińskiej. Niewątpliwie i Berek, choć z goryczą, znalazł się na żołdzie obcej sprawy i obcego kraju.

Nie sam Berek z pomiędzy współwyznawców odznaczył się pod znakiem legionów. Był i Junghof i Mordko Rosenfeld i porucznik Notkiewicz, niebezpiecznie ranny. Joselowicz świecił jednak znamienitym przykładem, niezwykłą zdolnością i odwagą. Także w kadrach francuskich zaskarbił sobie dobre nazwisko, wybił się w czasie zajęcia Hanoweru przez Mortiera księcia Trewiso i otrzymał od niego patent na kapitana kwatermistrzostwa w pierwszym pułku dragonów. Ta nominacja świadczyła o zaletach i pokładanem w nim zaufaniu. Kwatermistrze musieli posiadać dar szybkiej orientacji, musieli dbać o dogodny



obóz, zaopatrzenie wojska w różne środki i umożliwić regularny tryb życia w polu. Marszałek, słynny wódz, uczestnik walk pod Jemappe Hondschoote, Stockach, otoczył opieką i względami polskiego wojownika, przyjmował go chętnie i często u siebie, dał mu w podarunku pięknego konia i pięćset franków gratyfikacji. Serce jednak Kościuszkowskiego żołnierza uderzało pragnieniem służenia pod narodową chorągwią, dlatego stanowisko swoje uważał za przemijające, czasowe, roztwierające drogę do innego celu. W istocie nadarzyła się niebawem sposobność połączenia się ze swoimi. Napoleon, teraz już cesarzem, zerwał się wichrem do nowych zapasów, rzucił rękawicę niemal całej Europie i ostatecznie pokonawszy monarchią Habsburską, — przystąpił do upokorzenia Prus. Nieustrudzony Dąbrowski składał znowu legiony, w których wnet pojawili się druhowie z włoskich i naddunajskich pól chwały, opromienieni aureolą zasług i bohaterstwa. Starzy weterani zetknęli się w wspólnej potrzebie. Zbiedzy z obozów pruskich pomnożyli tworzące się oddziały i wnieśli w nie doświadczenie i wyćwiczenie zawodowe. Berek, ozdobiony najwyższą francuską dekoracją, orderem legii honorowej, zgłosił się do swego dawnego, ulubionego wodza, stanął w szeregach włoskich kolegów Sierawskiego, Downarowicza, Wasilewskiego i tylu, tylu druhów, ogorzałych w bojowym prochu. Wnet odezwał się chrzęst broni, orły polskie ruszyły ku północy, sunęły poza Nowie, wzięły szturmem Tezew i przyczyniły się do opanowania Gdańska. W bitwie pod Friedlandem, 14. czerwca 1807 r. należała dywizja Dąbrowskiego do ósmego korpusu armii marszałka Mortier. Pułk jazdy tej dywizji pod rozkazami Turna, otrzymał polecenie natarcia na strzelców

nieprzyjacielskich, rozsypanych w zbożu i w pogoni za nimi wpadł na baterye, które przyjęły go gradem kartaczów. Z niezmierną zapamiętałością w deszczu morderczych pocisków, osaczono park artyleryjski i zabrano sześć armat. W blasku niewysłowionego męstwa zabrzmiało znów nazwisko Berka i w uznaniu rycerskości — przypięto mu na piersi krzyż zasługi wojskowej, *virtuti militari*.

Dumne państwo Fryderyka II., które wyrosło i wykarmiło się krzywdą drugich i rozbudowało na grabieży — legło u stóp Napoleona, — obkrojone na strzępy, po zawarciu pokoju w Tylży. Bonaparte zapłacił męstwo polskie powołaniem do bytu Księstwa Warszawskiego, małego kraiku, skleconego z ziem, wydartych Prusakom. Niewielka to była przestrzeń, ale swoja, rdzennie narodowa, zadatek niejako na przyszłość, — z wojskiem świętych wiarusów. Spełniło się, choć w części to, do czego wszyscy wzdychali i modlili się. Legiony Dąbrowskiego przekształcono na regularną armię Księstwa, a pułk Turna otrzymał miano piątego pułku strzelców konnych, z francuska szwoleżerów czyli ułanów, opatrzonych w karabinki, nie w lance. I w tej formacyi, którą wypełnił kwiat młodzieży, synowie, wnukowie wojewodów, kasztelanów, rodowej szlachty z pra-pradziada, owych dumnych i niedostępnych królewiatek, pomiędzy Sokolnickimi, Kurnatowskimi, Umińskimi, piastował ex-faktor biskupa Massalskiego, godność szefa szwadronu lub podpułkownika, był przełożonym paniczów-arystokratów, noszących historyczne nazwiska. Pierwszy to pono wypadek, że żyd w jednej z armij europejskich i to w kawaleryi, dzierżył rangę sztabowca, co prawda w krwawicy i z niezmierną chlubą zarobioną. Zrazu

rozłożył się regiment Turna nad Pilicą, następnie w Pyzdrach, tuż koło Warszawy, a w sierpniu 1808 r. w najbliższej jej okolicy, a częścią w samym mieście. Po latach męki, tułaczki, po przebieżeniu całej Europy zachodniej i narażaniu się tysiąc razy na zgubę, mógł Berek, powszechnie podziwiany i kochany, powrócić na łono rodziny, uścisnąć dzieci i żonę, przygarnąć swoich drogich, i nieraz wieczorami gawędzić o upłynionych dziejach. A było o czym! Słuchała go żona Ryfka, która chodziła z mężem w święto uroczyste do bożnicy, niedaleko koszar Mirowskich, słuchał syn Józef, dorosły już młodzieniec, dobiegający dwudziestej wiosny życia, niebawem podoficer-adjutant 13 pułku huzarów. Nie było w stolicy córki Lei, wydanej już naonczas za Majerowicza, w późniejszym okresie arendarza karczmy w folwarku Mażowy, w parafii Kalewskiej, ani siostry Janikierowej, zamieszkałej na Litwie. Do jakiego stopnia Berek cieszył się szacunkiem, jak wśród współczesnych kroczył w koronie sławy, świadczy okoliczność, że na spół z najwybitniejszymi oficerami wpisany był na listę loży wolnomularskiej w Warszawie, stowarzyszenia, mającego w owej epoce za zadanie szerzenie braterstwa, podniecanie ducha patriotycznego, dźwiganie myśli narodowej, a nie jak to przedtem i potem było, zaszczepiania różnych sekciarskich pojęć. Członkowie zaś tych zebrań, składali się z najwytworniejszych i najprzedniejszych ludzi, inteligencji, szczególniejszej wojskowej najwyższych stopni. Dość wymienić księcia Józefa Poniatowskiego, generała brygady Aksamitowskiego, majora Hornowskiego, dobrane upamiętnionego w dziejach.

Niespokojny duch Napoleona, łaknący coraz innych podbojów, trawiony gorączką bezustannych walk,





sprowadził w 1809 r. wybuch kampanii z Austryą i odciągnął Joselowicza od domowej ciszy. Dreszcz nadziei przeszedł po Księstwie Warszawskim, że w razie wygranej, uda się całą lub znaczną część Galicyi przyłączyć do polskich obszarów, dlatego z zapałem przyjęło wojenną pobudkę. Armia Księstwa miała iść na pierwszy ogień, lecz zanim wtargnęła do dzierżaw rakuskich, musiała się rozprawiać z wrogiem, który z licznem wojskiem pod komendą arcyksięcia Ferdynanda d'Este, zalał obszar wolnego skrawka polskiej ziemi. Pola bitwy pod Raszynem opromieniły znowu oręż narodowy, i postać bratanka ostatniego króla Rzeczypospolitej, księcia Józefa, wyniosły na piedestał wieczystych wspomnień. Pułk piąty Turna, ścierał się w potyczce pod Grzybowem, wyróżnił 3. maja 1809 r. przy wzięciu przedmostowego szańca pod górę, gdzie Berek złożył nowe dowody niespożytej energii. Powierzono mu też zaszczytne zadanie torowania drogi wkraczającemu do Galicyi wojsku i wysłano w tym celu przodem, na czele dwóch szwadronów. Po drodze zawadził o Serokomłę, własność państwa Scypionów i zabawiał się na plebanii spijaniem wiwatów z poczciwym proboszczem na pomyślność przyszłego powodzenia. W tem zwiady doniosły, że w pobliskim Kocku, położonem już na austryackiem terytoryum, znajduje się konnica nieprzyjacielska.

Było to 5-go maja 1809 r.

W Kocku stały załogą dwa szwadrony pierwszego pułku cesarskich huzarów, zostającego pod dowództwem hr. Magyi. Komendę nad nimi dzierżył br. Hoditz. Na wiadomość o zbliżaniu się najeźdźców, wyprawiono jeden oddział na przeszpiegi ku Ostrówkowi, drugi postawiono w pogotowiu na rynku miasteczka, a trzeci

schowano na lewym brzegu Wieprza, w bezpiecznym, naturalnym zakryciu za mostem, łączącym Kock z przysiółkiem, zwanym „lubelskim“. Tuż, po prawej stronie rzeki, wznosił się dom mytnicy wraz z charakterystyczną polską roгатką. Około południa, wzbila się kurzawa na szosie, a z jej szarych obłoków wyłonił się szyk Berka. Z niesłychaną, bezbrzykłądną szybkością, piorunowym prawdziwie ruchem, najechał Joselowicz na pluton, płatający się na drodze i drugi na rynku, startł je na miazgę, rozpędził i rozbił, zanim zdołały oprzytomnieć i jak bezładne stado baranów gnał ku mostowi. Spozstrzegł niebezpieczeństwo kapral Meszelits, chwycił za łańcuszek szlabanu, przepuścił naprzód swoich, następnie drogę ściągnął i pobiegł do biwakujących za zaroślami towarzyszków, komenderując ognia. Rozgalopowana kawalerya polska napotkawszy niespodziewaną przeszkodę skłębila się, konie wspięły się dębem i spłoszyły, a Berek zmylony odwagą Meszelitsa mniemał, że ma przed sobą większy korpus piechoty i cofnął się w zamieszaniu na rynek. Tu wzięty go w dwa ognie nadbiegłe z za Wieprza plutony, gdy był zajęty porządkowaniem swego hufca. Wywiązała się zażarta potyczka, rzeź, uganianie się wzajemne. Saszerzy, zaskoczeni z nienacka, poszli w rozsypkę, a Berek, porwany wirem bojowym, wpadł do otwartej wojskowej ujeżdżalni wraz z kilku oficerami i żołnierzami. I podobnie, jak nad rzeką, zasunął jakiś huzar belkę u wejścia, skutkiem czego Polacy znaleźli się w pułapce. Wybiła chwila, w której przyszło kościuszkowskiemu pułkownikowi spełnić słowa, rzucone braciom: „obudźcie się jak lwy i lamparty!...“ Otoczony ze wszech stron, drogo postanowił sprzedać życie, rąbał na prawo i lewo, nie usłuchał wezwania,

aby skoczył na ziemię i poddał się... Spory moment przewlekało się majestatyczne pasowanie z śmiercią — do upadłego. Położył mu kres huzar Stefan Toth, ugodziwszy Berka tak potężnie pałaszem w głowę, że spadł z siodła i pod kopytami końskimi ducha wyzionął. Wraz z nim legło kilku innych oficerów, kilku było okropnie pociętych, a wachmistrz Zimmerman miał ręce zupełnie posiekane. Stefana Totha wynagrodzono srebrnym medalem za waleczność. Austriacy wojskowi, zwłaszcza major Hoditz, z uczuciem zdumienia zdali sprawę swoim przełożonym o czynie „sławnego“ Berka i nie mogli pojąć, jak w ciągu kilkunastu zaledwie minut powstała i znikła gromowa burza. Wdzięczny zaś lud, zebrał doczesne szczątki rycerza, usypał mu własnymi rękami kopiec i utrwalił bohaterstwo w piosence, nuconej w lubelskiem i siedleckiem: „W tym wypadku huncwockim, zginął Berek pod Kockiem...“ Jeszcze darń nie zarosła na mogile Joselowicza, a już postać jego przybierała demoniczne kształty, snuła się legendą i wciskała w zaścianki, jak opowieść z zamierzchłych czasów. Hr. de Laveaux zaznaczył w pamiętniku, że na arystokratycznej uczcie u podkomorzego Pieniążka, mówiono o bitwie pod Aspern, o Napoleonie i Berku. Najznakomitsi ludzie współcześni, przyczepili do jego nazwiska przydomek „heroiczny“, „sławny“. Hołd nieśmiertelnej pamięci wojownika złożono na posiedzeniu najwyższej instytucji umiejętności polskiej, warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, odbytem 22. grudnia 1809 r. w pałacu Saskim, w kaplicy niegdyś królewskiej. Prezes Rady Stanu, Stanisław hr. Potocki, wygłaszając pochwalną mowę na cześć poległych w ostatniej kampanii, wymienił między nazwiskami Godebskiego, Dobieckiego,

Świeżawskiego i Kossowskiego także Joselowicza w słowach ciepłych, tworzących najpiękniejszy pomnik dla nieboszczyka. „Ty pierwszy — mówił — braterską ziemię twoim zasmuciłeś zgonem, o! waleczny pułkowniku Berku, gdy cię niecierpliwego zwycięstwa wśród nieprzyjaciela zbyt nie uniosło męstwo! Kock, który się rodem chełpił, chełpić się będzie i grobem\*). Pomścili towarzysze twoi, pomściło natychmiast zwycięstwo zabójczej śmierci twojej, lecz cóż ją ojczyźnie nagrodzić zdoła? Pomni ona i dawniejsze za nią blizny i walki twoje, pomni wiecznie, żeś ty dał u nas przykład odżywionej waleczności narodowi twojemu i wskrzesił wizerunek rycerzy, których śmierć niegdyś Syonu oplakiwały córki...“ Potocki nie nadużył ani wyrazów, ani porównań, bo mimowoli, kto słyszał o czynach tego niepospolitego człowieka, przenieść się musiał w biblijną sferę i uprzytamniać pyszne postacie starego testamentu, kiedy „naród wybrany“, nie wyzuty z gniazd swoich, kochał ideały i ukazywał się w promieniach cnoty Machabeuszów.

Polska nie zapomniała o swoim dobrym synie... Na przedstawienie Rady ministrów wyznaczył książę warszawski, Fryderyk August, Ryfce, wdowie po Joselowiczu i jego synowi roczną emeryturę w kwocie 1800 zł. polskich, „chcąc — to słowa monarchy — nagrodzić liczne jego w obronie kraju położone zasługi“. Jedyna męska latorośl żydowskiego pułkownika, Józef, od imienia ojca Berkowiczem zwany, — wstąpił w szanowne ślady rodzica. Kampania 1809 roku zastała go na stanowisku podoficera trzynastego

---

\*) Potocki popełnił pomyłkę. Berek urodził się w Kretyndze.



JÓZEF BERKOWICZ, SYN BERKA JOSELOWICZA  
major wojsk polskich w roku 1831.



pułku huzarów, z którym odbył straszną wyprawę Napoleona na Moskwę w 1812-tym roku i walczył pod Mirem, Możajskiem, Czarykowem. Wyniósł z niej złoty krzyż wojskowej zasługi, zrujnowane zdrowie i wstrząśnienia na widok okropności pogromu i pamiętnego odwrotu armii, zniszczonej przez mrozy i głód. Z rangą podporucznika przeszedł do Krakusów Dwernickiego i z nimi stratował pola bitew pod Georgenwalde, Neustadt, Frohburg, w czasie rozpaczliwego łamania się i walki na śmierć i życie Napoleona z przymierzem prusko-austryacko-rosyjskiem. Szesnaście ran okryło ciało Berkowicza, — uczyniło go kaleką niezdolnym do spełniania powinności żołnierskiej. Krótki tylko czas pozostawał jeszcze w szeregach, przeniesiony do drugiego pułku ułanów, — poczem w połowie 1815 roku zrzucił mundur i dzięki poparciu ministra wyznań i oświaty Księstwa, Stanisława Potockiego, — dostał posadę podleśnego w rządowych lasach Rogóźno... Ze zniknięciem Księstwa Warszawskiego i utworzeniem w jego miejsce Królestwa Polskiego pod berłem cesarza Rosyi, Aleksandra I. — stracił Berkowicz grunt pod nogami, popadł w niedostatek i ciężko zdobywał kęs chleba dla sześciorga dzieci, — gdyż pobory emerytalne, nie starczyły. Z nastaniem uporządkowanych stosunków w nowem państwie, — kołatał ustawicznie o posadę i rzeczywiście uzyskał w 1819 r. nominację na podleśnego w skarbowych dobrach Brok. Odtąd zaczęło się jego szarpanie, — przykrości i dotkliwe ciosy. Wychodząc z założenia, że niepodobna pobierać dwóch pensyj, — wstrzymano wypłatę emerytury, udzielonej przez Fryderyka Augusta, — i dopiero Zajączek, książe — namiestnik Królestwa, — zniósł 4. stycznia 1820 roku

wadliwe rozporządzenie władzy. Nie nadługo! Wkrótce wywiązały się nowe trudności — i arcybolesne przejścia. Berkowicza przeznaczono do leśnictwa w Ostrołęce, gdzie okazał się obowiązkowym i od przełożonych odbierał pochwały, jako „najpilniejszy i najzdolniejszy“. Dusza jednak syna Joselowicza, rwała się nie do cichych ostępów i zagajników, do czuwania nad zwierzyną i wyrębem, do uganiania się za strażnikami i zamknięcia w odludziu, — ale do świata, do czynu, do zetknięcia się z nauką, z książką, — z ogniskiem wiedzy. Ciasno mu strasznie było, więc wnosił podania o przeniesienie gdzieś w pobliże Warszawy, aby dzieci mógł do szkół posyłać, kształcić, — a nie chować dziko w zamaryłych ustroniach. Prośby padały w próżnię, — owszem pogorszyły stan rzeczy, — bo pchnęły go w jeszcze dalsze, zapadłe kąty, — do leśnictwa Przasnysz w Płockiem. Widocznie bunt się w nim zebrał, natura burzyła się przeciw zawodowi i może trochę opuścił skrzydła w obowiązkach. Żli, dokuczliwi zwierzchnicy, wystawiali mu ciągle najgorsze kwalifikacje i szkodzili ustawicznie. Burmistrz miasteczka Janowa, — najbliższego okręgu, — doniósł fałszywie, że Ryfka umarła, a kobieta mieszkająca przy Berkowiczu, została podstawioną dla uratowania pensyjnych poborów. Niegodziwa denuncyacja pociągnęła za sobą wkroczenie władz, zajęcie mebli i gotówki, znalezionej u leśniczego, dla pokrycia szkód skarbu i moralne zniesławienie obwinionego. Opędał się też, jak umiał, prześladowcom; pojechał na Litwę, gdzie matka chwilowo bawiła przy siostrze Lei, w powiecie Telszewskim, przywiózł ją z sobą wraz z świadectwem cywilnego gubernatora wileńskiego, Horna, stwierdającym tożsamość osoby Ryfki. Nie przydały się dowody, emeryturę



ściągnięto, a w dodatku posądzono go o nadużycia i niesumienności, o uszkodzenie skarbu przez samowolną sprzedaż drzewa, wydawanie defraudantom fantów i rozmyślną opieszałość. Oszczyrstwa sprowadziły zawieszenie go w urzędowaniu w 1830 r. i rozpaczliwą walkę syna Joselowicza o uratowanie dobrego nazwiska. Sprawę oddano przed sąd województwa płockiego i augustowskiego. Berkowicz robił kurczowe wysiłki, aby wykazać otchłań podłości, nagonki, fałszu, ukutego przez całą klikę. Raz po raz przypominał przeszłość ojca i własną, która mu nakazywała „nie ściągać na siebie żadnego podejrzenia i nie plamić dobrego imienia“. Wybuch powstania listopadowego przeszkodził ostatecznemu wyświetleńiu sprawy, — ale i naczelna władza Berkowicza sama uznała bezzasadność podniesionych zarzutów, nakazując mu wyasygnować w styczniu 1831 r. pensję zaległą i emeryturę z „uwagi na moralne postępowanie podawcy, a stąd niejako prawdę twierdzeń jego“.

O powrocie na posterunek leśny, nie było już mowy, — bo Berkowicz w lutym 1831 r. wstąpił do wojska w randze szefa szwadronu pierwszego pułku mazurów, — a z nim najstarszy syn jego Leon. Zrazu marzył Berkowicz o stworzeniu starozakonnego pułku, podobnie jak ojciec za Kościuszki, — gorliwie zabiegał około urzeczywistnienia swojej myśli z niejakim Horowicem, — ale napotkał w jej wykonaniu spiętrzone przeszkody. Ślad tych starań pozostał w ognistej, wydanej do współwyznawców odezwie z dnia 21 grudnia 1830 r., kończącej się wniosłem nawoływaniem: „A gdy Bóg, który czuwa nad Polską, uwieńczy pomyślnym skutkiem szlachetne Polaków usiłowania w odzyskaniu wolności, jeśli zwycięski orzeł biały

roztoczy swe opiekuńcze skrzydła nad Polską, wten-  
czas was czekają uśmiechające się nadzieje, wtenczas  
szlachetny naród polski, ceniąc wasze poświęcenie się,  
z braterskim uściskiem was powita i zrobi uczestnikami  
wszelkich praw i swobód, do których uczestnictwa  
już was dotąd, przez moralne rozwinięcie wychowania  
waszego, przez ludzkością tchnące usiłowania dopro-  
wadzić i was na to dostojestwo godnych synów wspól-  
nej ojczyzny, wynieść starał się. Niech żyje Polska,  
nasza Ojczyzna!“ Powstanie listopadowe oświeciło  
znowu męstwo narodowego wojska blaskami nieśmier-  
telnej chwały. Żołnierz wojnę wygrał, — a wodzowie  
ją przegrali. Klóćąc się między sobą, intrygując i ko-  
piąc wzajemnie dołki, — zaprzepaścili sprawę i w trzech  
czwartych zdobyte powodzenie. Mając jeszcze pięćdzie-  
siąt tysięcy ludzi pod bronią, kapitulowali, — chronili  
się za obcy kordon i pozwolili rozbierać. Berkowicz  
odbył przeważną część kampanii w korpusie Samuela  
Różyckiego, brał udział w słynnej partyzanckiej wy-  
prawie tego generała na Litwę, zaawansował na ma-  
jora i jako szczególnie oboznany z rzemiosłem woj-  
skowem i uzdolniony, przydzielony był do instruktor-  
skiego korpusu oficerskiego, który miał zadanie cwi-  
czyć świeżo zaciągniętego rekruta. Wraz z generałem  
Różyckim i Kamińskim, ściganymi przez Rüdigiera,  
przeszedł Berkowicz z synem, podporucznikiem legii  
litewskiej, koło granicznej komory, Sobrzyce, — kordon  
austriacki 28 września 1831 r., został umieszczony  
pod dozorem w Zatorze, — a stamtąd na własne żą-  
danie udał się na tułactwo do miasta Besançon,  
we Francji. Tam żył wspólnie z wielu rozbitkami pol-  
skimi, co unieśli głowę z ojczystego grobu. Kochając  
nadewszystko wolność i biedną swoją, uciemiężoną

ziemię, pragnął przed światem poskarżyć się na bole nieszczęśliwego narodu, pragnął okazać, jakie niewysłowione przechodził katusze, po jakich stapał cierniach i w jaką wpadł beznadziejność. W tym celu on, wojskowy, — potem leśny, chwycił się pióra i w formie opowiastki skreślił, fantastyczne dzieje arystokratycznego panicza, Melsztyńskiego, ułana ze świty Napoleona, zwabionego podstępnie do kraju, a następnie wysłanego do katorgi Syberyjskiej. Nowelka, po angielsku napisana, nie odznaczała się wprawdzie talentem literackim, — ale cel autora, mianowicie wykazanie „w czym była istota rosyjskiego rządu i czym jest“, — osiągnęła zupełnie. Na każdej stronie pełno plam ucisku, — męczeństwa, rozpacz i niewolniczego zgrzytu, z każdej karty wieje nieubłagana nienawiść do despotyzmu, do gwałcicieli, a bezbrzeżna miłość i święte ubóstwienie dla ziemi „mogił i krzyżów“, — jak ojczyznę naszą nazwano. Nie bardzo dobrze widocznie wiodło się Berkowiczowi wśród swarliwej emigracyi, — bo przeniósł się do Londynu i Bogu ducha oddał 8. grudnia 1847 r. w Liwerpoolu. Pozostała po nim żona, żyła w biedzie w Paryżu i utrzymywała się z dobroczynności publicznej, — a synowie Leon i Józef popłynęli za szczęściem do Ameryki, — gdzie do dziś prawdopodobnie istnieje potomstwo żydowskiego pułkownika, — może w niepamięci o czci-godnym pradziadzie.

\* \* \*

Trzy pokolenia jednej rodziny poniosły daninę na ołtarze ojczyzny. Zaczyna je Joselowicz. Wyłonił się jak olbrzym pośród ciemnej ludności plemiennej, stanął na nowoczesnych wyżynach, położył ochotnie

życie za naród, stworzył zjawisko na przełomie z XVIII. na XIX. wiek fenomenalne, obraz złocistymi podmalowany barwami. Ten żydowski pułkownik, z opiętą na piersiach frakową bluzą, lśniąca szerokimi epoletami na wierzchach ramion, z wysoką bermycą szaserską, okrywającą czoło piękne, myślące, posiadał w sobie coś z staroświeckiej rycerskości i zdrowej polskiej tężyzny, którą się przejął, nie mając ani tradycji ani genealogicznego drzewa. Dumając nad podobną postacią, wydziera się z ust pytanie: coby stało się, gdyby Kościuszko tryumfem oręża wywalczył obywatelstwo swoim zasadom i mógł je przeszczepić w pojęcia ogółu? Ileż zagadnień ze szkodą dla postępu, humanitarności, nie plątałoby się dawno ścierniem na narodowym gruncie? A tak potrąca się ciągle o bezdeń nieszczęść i w zwątpieniu bada się: dlaczego i po co tyle nienawiści, tyle ruin i krzywd?....

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-390 Warszawa, ul. Nowy Świat 77  
Tel. 26-68-63















